
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatart śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Stanisław Skowroński – *Wspomnienia z zesłania*

Urodziłem się 30 czerwca 1935 roku w Kamionkach Wielkich, pow. Kołomyja, woj. Stanisławów. Ojciec mój Franciszek wraz z matką Rozalią z domu Gugala prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Ojciec dodatkowo miał warsztat stolarsko-ciesielski. Rodzice własnymi siłami wybudowali dom, stodołę, stajnię i warsztat stolarski. Ociec był dumny, że ma dom pokryty blachą, co w tych latach było rzadkością. Nie wszystkie pomieszczenia w domu były w pełni wykończone. Rodzice często mówili o naszym pięknym, dużym sadzie owocowym.

10 lutego 1940 roku we wczesnych godzinach porannych do naszego domu weszli żołnierze rosyjscy i oświadczyli, że rodzina ma dwie godziny na spakowanie rzeczy i mamy opuścić dom. Ojciec nie chciał przyjąć tego do wiadomości i wyszedł z domu szukać pomocy u jakiś władz gminy. Rozpaczająca i bezradna mama zaczęła pakować różne rzeczy. Jeden z pilnujących nas żołnierzy widząc bezradność mamy zwrócił jej uwagę, że powinna brać tylko cenniejsze rzeczy i narzędzia z warsztatu stolarskiego, bo na pewno przydadzą się w miejscu naszego przyszłego pobytu. Mama wzięła duży kosz i spakowała sporo narzędzi. Ojciec wrócił nie uzyskawszy żadnej pomocy i w gniewie zaczął z kosza wyrzucać narzędzia. Rosjanin w stanowczy sposób uspokoił ojca dodając: „Masz mądrą kobietę i dzieci, pomyśl o ich przyszłym losie”.

Cała nasza rodzina (ojciec 40 lat, Mama 32 lata, brat Adam 8 lat, siostra Stefania 6 lat ja miałem 4 i pół roku, najmłodszy brat Jan miał 3 lata) została przewieziona na stację kolejową. Wsadzono nas do wagonu towarowego wraz z innymi rodzinami. Po bardzo długiej podróży pociągiem, a następnie saniami przewieziono nas do Czeremuszki w tajdze w Krasnojarskim Kraju. Na odprawie po przybyciu do Czeremuszki pierwsze pytanie jakie padło było: „Czy ktoś ma jakieś narzędzia do pracy?”. Spakowane w koszu narzędzia stolarskie w znacznym stopniu zdecydowały o losie całej naszej rodziny. Jesteśmy wdzięczni temu żołnierzowi, który podpowiedział mamie, że narzędzia stolarskie na pewno przydadzą się w nowym miejscu naszego pobytu. Ojciec został od razu wyznaczony do pracy w jakimś baraku jako stolarz. Ci, którzy nie mieli narzędzi zostali skierowani do różnych prac, a w większości do wyrębu drzew i do spławiania ich rzeką. Ojciec pracując pod dachem w ogrzewanym pomieszczeniu nie był narażony na przeziębienia i inne dolegliwości zdrowotne, które dziesiątkowały pracujących przy wyrębie drzew. Zesłańcy narzekający na ciężkie warunki pracy słyszeli w odpowiedzi: „niczewo, niczewo przywykniesz, a kak nie przywykniesz to padochniesz”. Powszechne było też powiedzenie „kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”. Ludzie musieli iść do pracy, by otrzymać jakieś produkty żywnościowe, nie było innej możliwości zdobycia czegokolwiek. Czasem za jakieś kosztowności lub odzież można było w drodze wymiany uzyskać coś do jedzenia od rodzimych sybiraków, którzy nadzorowali pracę zesłańców.

W Czeremuszce zmarła moja starsza siostra Stefcia. Chorowała na tyfus i została pochowana w tajdze. Tu też urodziła się moja kolejna siostra Marta. Ojciec był ceniony jako stolarz i dość szybko miał dodatkowe prace zlecane przez rdzennych sybiraków. Często miał zamówienia na wykonanie nart dla okolicznych myśliwych. Ojciec miał przygodę, która o mało nie zakończyła się tragicznie. Wezwany na jakąś rozmowę do kancelarii zwrócił uwagę na stojącą na biurku figurkę - popiersie. Zapytał nieopatrznie: „Czto eto za czort?”. Komendant obozu wpał w szal, wyjął pistolet i wściekle zaczął domagać się wyjaśnień. „Czto ty skazał?!” wrzeszczał grożąc ojcu pistoletem. Całe szczęście, że ojciec zorientował się, że to nie są żarty i zaczął dopytywać kogo ta figurka przedstawia. Komendant powiedział, że to jest popiersie Stalina. Ojciec zaczął przeproszać mówiąc, że Stalin to bardzo przystojny i ładny człowiek, a to popiersie nie oddaje tych cech wielkiego Stalina. Z pobytu w Czeremuszce pozostało niewiele w mojej pamięci. Przypominam sobie zimowe wycie wilków pod naszym barakiem, pamiętam też pogrzeb siostry Stefanii.

Po podpisaniu umowy Sikorskiego ze Stalinem o utworzeniu wojska polskiego oddano nam dokumenty i mogliśmy swobodnie poruszać się po terenie Związku Radzieckiego. Dzięki pracom, które ojciec wykonywał dla miejscowych sybiraków, udało mu się uzbierać tyle pieniędzy, że mogliśmy opłacić sanie i obstawę myśliwską. Razem z nami wyjechało wówczas z Czeremuszki kilka rodzin. Do najbliższej stacji kolejowej można było dojechać tylko porą zimową, po zamarniętej i przysypanej śniegiem rzece, to była jedyna droga. Po dotarciu do stacji kolejowej wyruszyliśmy do Taszkientu. W czasie podróży zmarła mająca jeden rok siostra Marta. Zabrano ją z pociągu na jakiejś stacji, nie wiemy, gdzie została pochowana. Do Taszkientu nie dojechalismy. Zatrzymano nas w Nowosybirsku. W Taszkencie w tym czasie panowała epidemia tyfusu. Wprowadzono zakaz wjazdu na tereny objęte epidemią.

W Nowosybirsku „mieszkaliśmy” przez dwa tygodnie na dworcu kolejowym w oczekiwaniu na jakikolwiek pociąg. Pamiętam to dokładnie, bo na dużym dworcu oddaliłem się od rodziców i nieopatrznie moja ręka znalazła się przy wahadłowych drzwiach. Zgniecione dwa palce, wielki krzyk i długie, bo właśnie dwutygodniowe leczenie. Byłem wyleczony, jak ruszyliśmy w dalszą drogę. Dojechaliśmy do Bijska w Altajskim Kraju. Tam ojciec podjął pracę w cegielni jako stolarz. Mieszkaliśmy na terenie cegielni Kiripicznyj Zawod nr 3. Mieliśmy w baraku dość dużą izbę, małą spiżarnię, przedsionek i małą piwniczkę. Tam chodziłem do polskiej szkoły i ukończyłem tam trzy klasy. Z pobytu w Bijsku pamiętam bardzo dużo. Pamiętam ciągle zakradanie się do ogrodu, który był własnością jednostki wojskowej przylegającą do cegielni. Zakradaliśmy się ze starszym bratem do ich świniaźni, gdzie z koryt wykradaliśmy skrawki twardego sera, które płukaliśmy i tak stawały się smaczkowym przysmakiem. Nigdy nie zapomnę pola po ziemniakach wykopanych jesienią. Na wiosnę po zejściu śniegu niezbrane ziemniaki srebrzyły się w czarnej ziemi. Oczywiście zbieraliśmy te ziemniaki, suszyliśmy następnie tarliśmy, by ostatecznie upiec z nich na płycie kuchennej placki. Którejś wiosny miałem wyjątkowe szczęście, bo na kartoflisku w jednym miejscu znalazłem około trzech wiader zmarzniętych ziemniaków. Prawdopodobnie ktoś jesienią wrzucił do dołka ziemniaki i przysypał je ziemią. Później o nich zapomniał, albo nie potrafił ich znaleźć. Latem często odwiedzaliśmy pole pobliskiego kołchozu. Interesowały nas kolby kukurydzy, dojrzewające słoneczniki lub podbierane młode ziemniaki. Najgorszy był przednówek, gdy na polach jeszcze nic nie urosło, a zapasy zimowe się wyczerpały. To z tego okresu smak zupy z lebiody pozostawił gorzkie wspomnienia.

A tak naprawdę to kradliśmy wszystko, co nadawało się do jedzenia. Można to nazwać inaczej na przykład zaradnością. Na okoliczność żniw z sąsiedniego kołchozu wywrotkami przewożono na teren cegielni zborze do suszenia. Z wywrotek wysypywano na wcześniej utwardzony plac zboże, które suszono przez jakiś czas. To była dla nas okazja do zrobienia zapasów na zimę. Mama wszywała nam w spodnie (takie rybaczki) duże kieszenie. Razem z braćmi bawiliśmy się w berka, biegliśmy do suszonego zboża, napełnialiśmy kieszenie i biegliśmy do domu. Byliśmy wydajni, bo na każdą zimę w ten sposób mieliśmy dwa duże worki ziarna. Mama te ziarna tłukła w moździerzu i robiła nam jakieś dania. Z wagonów kolejowych jadących do pobliskiej cukrowni kradliśmy buraki cukrowe.

Do czego może doprowadzić głód świadczy moje i starszego brata zachowanie. Mieliśmy bochenek chleba, który musiał wystarczyć na kilka dni. Mama każdemu z nas kroїła po jednej kromce chleba, a sobie brała to, co pozostało po wycięciu ząbków na chlebie. Chleb był chowany do kuferka i zamykany na kłódkę umocowaną w skobelkach. Rodzice zmęczeni codzienną pracą zasnęli. Mój starszy brat obudził mnie i po prostu dobraliśmy się do kuferka – tym razem najedliśmy się chleba do syta. Rano obudził nas rozpaczliwy głos mamy. Ojciec sięgnął po pas, trochę bolało. W pamięci mam obraz zapłakanej mamy, która broniła nas przed ojcem. Była bezradna, bo nie miała chleba dla ojca, który musiał iść do pracy i dla najmłodszego brata, który też domagał się swojej porcji chleba. Płakaliśmy wszyscy, ale każdy z innego powodu. Starszego brata i mnie, bo nas trochę siedzenie bolało, mama, bo było jej bardzo nas żal, ojciec, bo był bardzo zły i miał żal do nas, najmłodszy brat płakał, bo był

po prostu głodny. Wspomnienia te często powracają, bo w spadku po rodzicach mam ten kuferek walizkę i większy kufer. Są to jedyne pamiątki jakie mam z Syberii.

Przeżyliśmy Sybir w znacznej części dzięki temu, że ojciec nie pił. Wódka w naszym domu była ciągle, bo ojciec za dobrą pracę dostawał ją jako premię. Za wódkę można było coś kupić. Z koszar wojskowych sąsiadujących z cegielnią, na terenie której był nasz barak, co jakiś czas wysyłano transportem żołnierzy po przeszkoleniu bezpośrednio na front. Ci żołnierze nie chcieli jechać bez napicia się wódki. Trafiali do nas i w drodze wymiany były różne artykuły np. ukradziona wełna z jakiejś karawany wielbłądów transportujących ją przez Bijsk. Cegielnia zimą zajmowała się produkcją walonek (to takie zimowe obuwie). Ojciec zawsze z takiej beli robił kilka par walonek, które mama i starszy brat sprzedawali na targu. Innym razem żołnierze przytargali ćwiartkę świni. Ukradli, a właściwie to zarekwirowali ją z magazynu przy ubojni. Magazynem był zwykły plac, na który wyrzucano poćwiartowane prosiaki, a przy temperaturze, która zimą dochodziła do minus czterdziestu stopni była to naturalna zamrażarka. Pilnował tego placu stróż i ujadający na uwięzi pies. Dla żołnierzy sprawa była prosta – bierzemy ćwiartkę świniaka, bo jedziemy na pierwszą linię frontu. Jeszcze innym razem żołnierze przynieśli wojskowe mundury, tak zwane rubaszki. Z tych rubaszek mama uszyła nam mundurki. Spodnie rybaczki sięgające poniżej kolan i bluzy.

Przed wyjazdem do Polski ubrałem się w ten mundurek. Wyszedłem do kolegów Rosjan mieszkających na terenie cegielni, zareagowali entuzjastycznie, mówiąc: „Stasiek ty ciepier nastojaszczij polski pan”. Byłem zachwycony i uradowany tymi słowami. Spotkał mnie później spory zawód, bo w Polsce na stacji kolejowej w Witnicy wysiadłem z pociągu ubrany w ten mundurek zobaczyłem na peronie stojących chłopców, którzy pokazywali mi palcami i wołali „rusek, rusek”. Pamiętam to powitanie - to był ostatni mój występ w tym mundurku.

W czerwcu 1946 roku cała nasza rodzina po miesięcznej podróży z całym transportem repatriantów z Bijska dotarła do Gorzowa Wielkopolskiego. Ogłoszono ośmiogodzinny postój transportu na bocznicę kolejowej. Ojciec wybrał się do miasta i na ulicy spotkał swojego młodego brata, którego nie widział i nic o nim nie wiedział od chwili zesłania nas na Sybir. To spotkanie zadecydowało o tym, że zrezygnowaliśmy z dalszej podróży transportem, którego punktem docelowym były Pyrzyce w Zachodniopomorskiem. Rezygnacja z dalszej podróży do punktu docelowego oznaczała utratę wszelkich uprawnień przysługujących repatriantom. Musieliśmy sobie radzić sami. Okazało się że niedaleko od Gorzowa Wielkopolskiego w Witnicy są repatrianci z Kamionek Wielkich, w tym wszyscy krewni naszych rodziców, jest nawet ksiądz z Kamionek Wielkich. Radość była przeogromna, po tych latach znowu sami swoi.

Po wielkiej radości trzeba było pomyśleć jak ułożyć sobie dalsze życie. Było to o tyle trudne, że rodzice nie pogodzili się z tym, że nie mogą wrócić do swojego pozostawionego w Kamionkach Wielkich gospodarstwa. Ojciec ciągle uważał, że pobyt na ziemiach odzyskanych to tylko przejściowy czas. Ciągle powtarzał, że chce wrócić na swoje. Dbał o rodzinę ciężko pracując w fabryce mebli i dodatkowo uprawiając pole. Nie widziałem radości w codziennym życiu ojca. Do końca życia miał nadzieję, że wróci do Kamionek Wielkich do swoje-

go domu i wszystkiego co musiał zostawić przed zesłaniem na Sybir. Ojciec zmarł mając 56 lat. Mama dożyła sędziwego wieku 90 lat. Mama po śmierci ojca musiała znaleźć w sobie tyle siły, by sprostać wszystkim obowiązkom, które były związane z troską o mnie i moich braci. Zarówno ja jak i moi bracia wyjechaliśmy z Witnicy układając sobie życie według własnych planów. Mama cieszyła się naszymi życiowymi powodzeniami. Cieszyła się z każdych naszych odwiedzin w Witnicy. Sądzę, że mama pogodziła się z faktem bezpowrotnej utraty gospodarstwa w Kamionkach Wielkich. Razem ze starszym bratem Adamem odwiedziła Kamionki Wielkie i powiedziała mieszkającym w naszym domu, że na pewno nigdy tam nie wróci. Żyjąc samotnie przez czterdzieści lat po śmierci ojca Witnicę uważała za swoje miejsce do spokojnego życia.

Sentymentalna podróż

Przy okazji spotkań rodzinnych moje dzieci i dorosłe już wnuki zwracają się z prośbą „opowiedz dziadku, jak było na Sybirze”. Nieopatrznie na jednym z takich spotkań powiedziałem, że chciałbym znów pojechać na Sybir – tym razem dobrowolnie. By porównać wszystko to, co zapamiętałem mając 10 lat z rzeczywistym obrazem Syberii. Moja córka Kamilla, jej syn, a mój wnuk Paweł postanowili sfinansować i zorganizować tę sentymentalną podróż dziadka.

8 sierpnia 2014 roku wyjechaliśmy autobusem z Gdańska do Kaliningradu, następnie poleciliśmy samolotem do Moskwy, a potem z Moskwy do Nowosybirska. Tu okazało się, że nasz bagaż zaginął. Postanowiliśmy jednak wyruszyć w dalszą podróż - autobusem dojechaliśmy do tego samego dworca kolejowego, który pamiętam z dzieciństwa. Zawsze zastanawiałem się, jak to było możliwe, że przez 2 tygodnie mieszkaliśmy w gmachu stacji kolejowej, kiedy nie pozwolono nam na wyjazd do Taszkientu. A było to możliwe, bo budynek ten jest na prawdę ogromny. Są tam też drzwi wahadłowe i jest ich dość sporo. Nie umiałem określić, które z nich sprawiły, że przez dwa tygodnie leczyłem zgniecione palce. Mimo tego bez kłopotu odnalazłem peron, na który wychodziliśmy co kilka dni oczekując przyjazdu pociągu.

Nie czekając na walizki kontynuowaliśmy naszą podróż koleją. Nie obyło się bez kłopotów, ale po dwóch dobach szczęśliwie dotarliśmy do Bijska. W tym mieście dworzec kolejowy jest także okazały. Nie miałem go w swoim obrazie z lat dziecięcych. Nie pamiętałem także, że w mieście są tramwaje – a może ich jeszcze wtedy nie było? Chociaż stan techniczny pojazdów był kiepski, dowiozły nas w pobliże bardzo ładnego, drewnianego hotelu.

Po zakwaterowaniu udaliśmy się do Polskiej Misji Katolickiej, która znajduje się dosłownie po drugiej stronie ulicy. Była niedziela, ksiądz zaprosił nas na mszę, a po nabożeństwie na wspólną herbatę z innymi uczestnikami nabożeństwa. Zostałem poproszony o przedstawienie mojej historii. Na moje pytanie czy mam mówić po polsku czy w języku rosyjskim usłyszałem, że lepiej będzie w języku rosyjskim. Zacząłem swoją opowieść, tą którą wywozłem z Bijska, gdy miałem 10 lat.

W czasie opowiadania o losie naszej rodziny widziałem narastające wzruszenie wśród słuchających. Miałem wrażenie, że wracają do swoich wspomnień z odległych i może już zapomnianych zdarzeń. Uświadomiłem sobie również, że ja żyję już w zupełnie innym świecie, a oni zostali i żyją tam

nadal. W oczach pojawiły się łzy - zarówno po naszej stronie, jak i parafian. Kończąc swoje opowiadanie podziękowałem Sybirakom za pomoc, jaką otrzymaliśmy od nich w czasie wojny. Rdzenni Sybiracy byli życzliwi i potrafili podzielić się tym, co mieli. To było bardzo trudne spotkanie.

Nasz bagaż dowieziono nam w trzecim dniu naszego pobytu w Bijsku. Nareszcie mogliśmy się przebrać i poczuć normalnie. Ksiądz Andrzej wystarał się nam o opiekuna, który związany jest z organizacją Memoriał. To dzięki niemu trafiliśmy do miejsc, które chcieliśmy zobaczyć Kierpicznyj zawod nr 3 – miejsce pobytu naszej rodziny jest w znacznie gorszym stanie niż 70 lat temu. Cegielnia, na terenie, której mieszkaliśmy i gdzie pracował ojciec przestała istnieć; pozostały tylko gruzowiska. Natomiast koszary wojskowe po sąsiedzku zamieniono na więzienie dla młodocianych. Powyżej na płaskowyżu, na miejscu pól kołchozowych pobudowano dache i coś tam jeszcze rośnie. Trudno tam dostrzec jakąś prawdziwą uprawę. Odnaleźliśmy barak, a raczej tylko pozostałości po baraku, które do złudzenia przypominały mi miejsce naszego zamieszkania. Ulica, w której była cegielnia dalej nazywa się Kirpicznaja tak jak 70 lat temu.



Bijsk – autor z córką na spacerze po dzielnicy, w której była cegielnia.
Fot. Paweł Stempczyński.

Nie istnieje już szkoła, do której chodziłem – w tym miejscu jest park i pomnik cara Piotra I założyciela miasta Bijsk. Stary most na drodze do cerkwi zastąpiono nowym. Sama cerkiew utrzymana jest w bardzo dobrym stanie, ale przed nią rozpościera się strasznie zaniedbany stadion sportowy, który skutecznie przesłania świątynię prawosławną. Na terenie bazaru, który często odwiedzała mama i mój starszy brat Adam pobudowano pawilony i rozmaite stoiska handlowe. Mały staw, do którego prowadzi polna ścieżka to miejsce, gdzie latem pływałem i zimą jeździłem na łyżwach. Jezioro zachowało swój naturalny charakter po dziś dzień.

Miejsca, gdzie chodziłem na narty i sanki rozpoznałem bez trudu. Naszemu przewodnikowi powiedziałem, że idąc tą polną ścieżką i dalej wzdłuż stawu dochodziło się do wzgórza, na którym był wykopany duży dół, do którego co kilka dni przywożono na platformie zwłoki Japończyków (jeńców wojskowych). Zapamiętałem to, bo pod naszym barakiem widziałem przykryte słomą zwłoki Japończyków na platformie. I później chodziliśmy na wzgórze i widzieliśmy ciała przysypane wapnem. Nasz przewodnik i opiekun potwierdził, że rzeczywiście Japończycy po wojnie ciągle upamiętniali te mogiły, tablicami pamiątkowymi, które były systematycznie niszczone. Ostatecznie rozwiązano ten problem przenosząc szczątki z tych mogił na jakiś cmentarz. Obecnie na wzgórzu znajduje się rondo i skrzyżowanie dróg. Japońscy żołnierze pozostali w mojej pamięci dlatego, że zimą odśnieżali drogę do cegielni. Moja mama wносиła im kąpiatok, czyli gorącą, kipiącą wodę i widziałem jak drżącymi i zziębniętymi rękoma nadstawiali kubki i ostrożnie pili ten wrzątek.



Autor z wnukiem Pawłem w towarzystwie przewodnika po Bijsku.

Chodząc po moich dziecięcych śladach spotykaliśmy siedzących na ławeczkach przed domem ludzi; najczęściej stare kobiety i mężczyzn pytających, co nas sprowadza na ich teren. Byli rozmowni i zaciekawieni. Na moje oświadczenie, że odwiedzamy miejsca, w których byłem, gdy miałem 10 lat, a minęło od tego czasu 70 lat jedna z kobiet rzekła: „To ty masz tyle lat, co ja”. Na moje słowa, że w cegielni pracował mój ojciec zakomunikowała, że ona też pracowała w tej cegielni. Musiało to być oczywiście później, bo nie pamiętała, jak zimą w wytwórni cegieł produkowano walonki, do których ojciec dorabiał prawidła (tak to ojciec określał). Na pytanie jak im się żyje słyszałem zawsze tę samą odpowiedź: „Bardzo dobrze, mamy kartofle, ogórki, chleba też nie brakuje,

a i wódeczka jest”, „Nie mamy powodu do narzekania”. Wszak w oczy rzuca się ogromna różnica w poziomie życia. W centrum hotele, restauracje, supermarkety, piękne parki i domy, przy których zaparkowane są najnowsze modele samochodów. Absolutnie innym światem są okolice Kierpicznej zawod nr 3, gdzie mieszkaliśmy 70 lat temu.

Idąc kiedyś w tych okolicach mój wnuk nagle oznajmił: „Dziadku popatrz tu rośnie marihuana”. Zareagowałem uwagą, że to lebioda, a nie marihuana. Wnuka nie przekonałem, a on dla sprawdzenia zebrał kilka listków i pączki kwiatów. Przy nadarzającej się okazji zapytałem naszego przewodnika, czy to możliwe, żeby tak swobodnie rosła marihuana. Jego odpowiedź była dla mnie całkowitym zaskoczeniem - powiedział, że na polach pokółchozowych, na płaskowyżu powyżej byłej cegielni konopie występują dość obficie. Najciekawsze przy tym jest to, że w porze kwitnienia roślina ta pyli. Na tę okoliczność przyjeżdżają narkomani, rozbierają się do naga i biegają po polach. Wiąże się to z tym, że pyłek osiadający na spocone ciało daje ponoć najlepszy efekt. My nie skorzystaliśmy z tak powszechnie dostępnej odżywki.

Dotarliśmy natomiast do muzeum z bardzo bogatymi zbiorami, gdzie między innymi w jednej z sal odnalazłem dokładnie takie same ławki szkolne, jak te w których ja siedziałem. W innym pomieszczeniu były eksponowane narzędzia stolarskie bardzo podobne do tych, które miał mój ojciec i dzięki którym my przetrwaliśmy Sybir. Ekspozycja zawierała również sanie zbliżone do tych, na których opuściliśmy Czeremoszkę w tajdze. Zawędrowaliśmy do archiwum, gdzie przyjęto nas życzliwie i okazano nam wiele pomocy przy sformułowaniu pytań do prośby, którą trzeba było złożyć by uzyskać w archiwach odpowiednie dokumenty. Obiecano nam przesłanie interesujących nas informacji o naszym pobycie w czasie wojny w Bijsku. Niestety po trzech latach oczekiwania nie mam już złudzeń, że ten rozdział należy zamknąć w oparciu o swoją tylko pamięć.

W Bijsku został pochowany ojciec Wojciecha Jaruzelskiego, jest tam też pomnik postawiony przy okazji pobytu ostatniego prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Według naszego przewodnika nie jest to pierwotne miejsce jego pochówku. Grób przeniesiono na ten ładniejszy cmentarz.

Bijsk to bardzo piękne miasto z bardzo bogatą historią. Jest tu wiele przepięknych, starych, zabytkowych rezydencji należących do carskich kupców oraz zamożnych mieszkańców. Są zachwycające cerkwie, które w czasie wojny były przekształcane w instytucje państwowe. W roku 1943 pozwolono otworzyć tylko jedną z nich (a było ich wówczas kilkanaście), w której byłem kilka razy z rodzicami. Są pałace i okazałe kompleksy budynków, należących niegdyś do wysokich dostojników Kościoła prawosławnego.

17 sierpnia 2014 wróciliśmy do Polski. Moja córka nie musi już zadawać pytania, jaki jest ten Sybir? Wnuk z nagranych kamerą materiałów wideo przygotował w prezencie na moje 80-te urodziny krótki film pt. „Sentimentalnoje putiszestwie”. Dziękuję mu za to serdecznie. Ja sam pozostaję do dziś pod wrażeniem, że obraz Sybiru, który zapamiętałem mając 10 lat jest tak dokładnie rzeczywisty i prawdziwy.